

Fred, M. Withe.

Szkarłatna orchidea

Przekład J. S.

14

— Na honor, hrabio! Muszę zebrać wszystkie myśli, żeby mnie pan nie prześcignął. Od jak dawna trwa ta szpiegowska służba?

— Odkąd chan rozstał się ze swym klejnotem, wciąż jest pod obserwacją. Niech pan pozwoli mi przywołać Hamida, ażebyśmy mogli z nim sprawę tą omówić. Wie on o wszystkim, gdyż przez jednego agenta, który tu czuwa w przedpokoju, zawiadomiłem go wszystkim. Naszej nieobecności nie zauważa zapewne — a gdyby, no to wyszliśmy na dwór na cygaro. Przez ogród wyjdziemy na Piccadilly-plac, gdzie Hamid czeka. Cóż pan o tem myśli?

Frobisher zgodził się chętnie. Ten zwrot intrygi podobał mu się bardzo. Niepostrzeżenie doszli do punktu oznaczonego, gdzie spotkali Hamida, opartego nieruchomo o drzewo i palącego papierosa.

— Czy pójdzie pan z nami? — zapytał Lefroy — Mamy dla pana robotę.

— Cieszy mnie to! — skinął Hamid — To czatowanie tutaj już mnie znudziło. Ale co widzę? Hrabia Lefroy i sir Frobisher razem? Hrabio kochany, skąd się to wzięło?

— Tonący szuka ratunku, jak może! — brzmiała wymijająca odpowiedź — Teraz nie mamy czasu na wyjaśnienia. Czy zechce pan wejść z nami do domu?

Trójka łotrów tą samą drogą przez ogród udała się do domu, do pokoju dla palących, a sir Frobisher był przekonany, że ich nikt nie widział. Chan nie powinien był się dowiedzieć, że Hamid jest w pobliżu. Ale czujne oko widziało zarówno wychodzących dwóch spółników, jak i powracających w towarzystwie nieznanego trzeciego. Było to oko pani Izy. Ponieważ ten fakt wydał się jej ważnym, więc poprosiła Angelę, by dowiedziała się, ktoby był ten trzeci.

Angela po chwili wróciła, a z opisu pani Iza domysliła się, że to Hamid.

— Ach, to on! — szepnęła pani Bernsteinowa. Doskonale pani się wywiązała z zadania. A teraz, niech pani wróci do przystojnego Aben Abdullah'a i bawi się w jego towarzystwie jak najlepiej, aż znowu panią potrzebować będę.

XII.

Pelen wewnętrzznego niepokoju, ale z dobrze udaną obojętnością, Denvers oczekiwał swej narzeczonej, aby się od niej mógł dowiedzieć bliższych szczegółów o spotkaniu jej z panią Bernsteinową. Młoda para udała się do osobnego pokoiku po za orkiestrą, gdzie Harold pilnie wysłuchiwał relacji Angeli. Kiedy mu powiedziała o ukazaniu się nowego, trzeciego wroga, ściągnął brwi.

— Ten obcy jest to bezsprzecznie minister Hamid — rzekł zniechęcony — może najniebezpieczniejszy wróg mojego pseudo-pana. Jeśli on zdoła udowodnić, że chan nie posiada błękitnego kamienia, to mogłoby to za sobą pociągnąć zmianę tronu w Kurdistanie. To bardzo nie dobrze, że on tu jest.

— Czemu cię to tak obchodzi? — zapytała Angela zdziwiona.

— Właściwie tylko z egoizmu — przyznał otwarcie Denvers. — Czy myślisz, że zadawałbym się z takim szatawita, jak chan, gdybym nie miał w tem własnego interesu? Chciałbym uzyskać od niego koncesję, wtedy karyera moja zrobiona; za rok byłbym bogatym człowiekiem. Co się tyczy błękitnego kamienia, to już znalazłem wybieg i ratunek, a to z pomocą lorda Rashburna. Bogaty Anglik pożyczycy chanowi potrzebną na wykupno kwotę, jutro kamień wykupimy. Pragnąłbym, żeby pani Bernsteinowa szczęśliwie wydobyła się już z tego domu z tym niebezpiecznym klejnotem.

— O nią się nie martw, mój drogi. Myślę, że powinniśmy się zdać na jej mądrość. Bądź tylko ty ostrożnym, Haroldzie, żeby cię nie poznano. A teraz chodźmy, nikt nas tu razem widzieć nie powinien.

Posłusznie podążył Denvers za Angelą do

salonów. W karciarńi spostrzegli chana, gracjącego w karty, a przed nim leżał stos złotych.

— Karty go jeszcze więcej absorbują, aniżeli pijactwo! — szepnął do Angeli. — Na razie mnie nie potrzebuje, tu jest bezpieczny.

Idąc dalej zauważyli Frobishera, który zdążył ku oranżeryi, dokąd także udała się i pani Bernsteinowa.

— Chcę być w jej pobliżu — rzekła cicho do Denversa — kto wie, czy nie będzie potrzebowała mej pomocy.

W istocie sir Frobisher podążył za panią Bernsteinową i zaprosił ją do obejrzenia dokładnego orchidei. Pani Iza zgodziła się na to, choć wiedziała, że sir Clemens coś knuje przeciw niej.

— Chciałabym zobaczyć pańską szkarłatną orchideę w pełnym rozkwicie! — rzekła żywo.

— Skąd pani zna szkarłatną orchideę? — zapytał Frobisher wyczekująco.

Pani Iza roześmiała się.

— To moja tajemnica. Niech pan nie zapomina, że mam krew wschodnią w żyłach. Zresztą, niech się pan ma na baczności, panie Frobisher, jeśli pan dłużej zachowa u siebie tę orchideę, to może to pan życiem przepłacić.

— W tem tkwi właśnie ponęt! — odparł spokojnie. — Chorobliwie Kocham kwiaty, najbardziej szkarłatną orchideę, gdyż ona jest jedyną w swoim rodzaju, a w dodatku niesłychanie interesująca ze względu na kiwawą tragedję, do niej przywiązana. Wszyscy kapłani z Ghan nie naklonią mnie do wydania jej.

Iza musiała przyznać, że podziw Frobishera dla tej królowej orchidei był całkiem usprawiedliwiony. Słup pary, w równych odstępach czasu orchideę ogrzewający, rozrzedził się teraz i oczom pani Izy ukazały się w całej wspaniałości zwisające z pod sufitu kwiaty precudne, o wybitnie szkarłatnych koronach.

— Zasługują w rzeczywistości na swą nazwę: Szkarłatna orchidea! — odezwał się głos po za jej plecyma.

Obejrzała się i spostrzegła nieruchomą twarz hrabiego. Teraz miała dwóch wrogów przy sobie, dwóch wrogów, którzy, poznała to odrazu, tu ją zwabili umyślnie, aby jej, jeśli trzeba będzie, siłą nawet odebrać błękitny kamień. Znajdowała się w trudnym położeniu, sama z tymi łotrami, zdolnymi do ostatecznych czynów. A jeśli istotnie przyszedłoby do gwałtu, musiałaby przecież zamilczeć o tem. Jej opowiadanie uważano za wymysł fantazyi histerycznej kobiety, a także przez wzgląd na męża nie mogłaby nic mówić. Błyskawicznie pani Iza przemyslała to wszystko, uśmiechając się jednak wciąż pogodnie. Jej przeciwnicy nie powinni spostrzedz, że ona zna ich zamiary. Walka może się rozpocząć, ona czuła się dość silną do niej.

— Tak, istotnie — nawiązała pani Iza do słów hrabiego — szkarłatna orchidea jest cudownie piękna! Panno Lynn! — zawołała w stronę otwartej hali. — Czy nie zechce pani także zobaczyć tego cudu natury?

Słowa jej brzmiały tak niewinnie, a przecież tkwił w nich pewien krzyk o ratunek, tak, że Angela, która się w pobliżu znajdowała, zrozumiała to doskonale i w tej chwili zjawiała się na progu.

— Ja sobie nic nie robię z orchidei, proszę pani — odparła obojętnie — mają one coś naturalnego w sobie.

— Nie wszystkiel — odparła pani Iza, zrywając jedną gałązkę ciemno-błękitnych kwiatów. Frobisher drgnął. Nie mógł ścierpieć, żeby obce ręce dotykały jego kwiatów.

— Panie hrabio! — zwróciła się do tegoż pani Iza z ujmującym uśmiechem — niech pan będzie łaskaw wpłać tę gałązkę we włosy panny Angeli. Wyższy pan odemnie i pewnie pan to równie dobrze uczyni.

Angela nie protestowała, choć nie znała powodów postępowania pani Izy.

— Jak pani z tem ładnie! — zawołała radośnie pani Iza. — Wiedziała, że czegoś brak toalecie pani. Zachowa pani te kwiaty aż do snu, nieprawdaż? Niech mi pani przyrzecze, że tak!

Podczas gdy w ten sposób rozmawiała z Angelą, Lefroy odciągnął swego towarzysza na stronę.

— Tracimy drogi czas! — szepnął. — Czy nie może pan odprawić stąd panny Lynn?

— Jeszcze trochę cierpliwości! — odrzekł również szepem Frobisher — Już ja coś wymyślę, żeby się jej pozbyć.

I pani Bernsteinowa wyzyskała tą chwilę, żeby szepnąć Angeli:

— Niech pani uważa, jak będę mówić dalej, niech pani roześmieje się wesoło, tak, jak gdybym powiedziała coś bardzo śmiesznego.

— Niech pani dziś wieczorem sama rozczesze swe włosy! — szepnęła pani Iza, a Angela wybuchnęła kaskadą śmiechu.

Mała ta scena rozegrała się tak szybko, że zupełnie uszła uwagi panów. Angela zaś miała wrażenie, że znajduje się pod czarem dziwnego snu. Widziała śmiejącą się panią Izę, jej uprzejmych kawalerów i napozór w najlepszym humorze, a przecież pod tą obojętnością czaił się dramat, który mógł lada moment zamienić się w tragedję. Zlecenie pani Izy brzmiało też dziwnie tajemniczo, ale mimo to Angela postanowiła bezwarunkowo je wykonać. Tęskniła za rozmową z narzeczoną i odepchnęła, kiedy pani Bernsteinowa dała jej znak, że może odejść.

Zaledwie dziewczyna się oddaliła, pani Iza usiadła i rzekła do Frobishera:

— Bardzo to odważnie z pańskiej strony, panie Klemensie, przechowywać tutaj szkarłatną orchideę.

— Co pani wie o niej?

— Bardzo wiele. W mem życiu słyszałam już rozmaite dziwne rzeczy, takie, o których tylko na wschodzie waży się mówić. Tam się wychowałam. Dobra to była szkoła dla dziewczyny, która musiała walczyć z obludnym światem.

Klejnoty na jej sukni mieniły się blaskiem, ale oczy jej błyszczały silniej, niżli one, kiedy to mówiła.

— Mówi pani zagadkowo! — roześmiał się z przymusem Frobisher, patrząc z podziwem na piękną panią Izę. — Jeżeli pani zna historję szkarłatnej orchidei, to pani musi wiedzieć, jaki związek ona ma z błękitnym kamieniem z Ghan?

Głos jego był zachrypnięty, ścisnięty, a przy tem wyzywający.

— Słyszałam o tym klejnocie! — odparła Iza spokojnie. — Oba te przedmioty są nierozdzielne od siebie.

— Albo mają nimi być! — przerwał Frobisher. — Lecz jeśli szkarłatna orchidea zabłąkała się tak daleko, czemu nie miałoby się to stać i z błękitnym kamieniem? Czy go pani już kiedy widziała?

W pytaniu tem była już otwarta groźba, którą pani Iza dobrze rozumiała, ale nie wyprowadziła jej z równowagi.

— Owszem, widziałam — odparła bardzo spokojnie — więcej jeszcze, miałam go dziś przy sobie.

Frobisher zdębiał. Nie mógł wyjść z podziwu nad jej odwagą. Co za zimna krew! Każda inna byłaby się tego wyparła, ta kobieta niczem nie dała się zaskoczyć.

To bardzo śmiało! — rzekł półgłosem.

— Nieprawdaż? — roześmiała się pani Iza, rzucając mu spojrzenie pełne ognia. — Ale to, czego nie wiem, nie podnieca mnie, mówię obce przysłowie. Gdyby to było prawda, byłoby wiele szczęśliwych ludzi na świecie. Panie hrabio, zechce pan usiąść? — zwróciła się doń bezpośrednio. — Nie, proszę tam, żebym mogła widzieć twarz pańską.

Lefroy posłuchał w milczeniu. Wewnętrznie był zły na tę stratę czasu. Frobisher zdawał się bawić znakomicie. Dla niego nie istniała maksyma: najlepsza droga prosta. Szyling zdobyty krętą drogą uszczęśliwiał go więcej, aniżeli na prostej drodze zdobyty dukat.

— Jakto? — podjął Frobisher na nowo walkę na słowa. — Pani nosiła błękitny kamień, nie znając jego wartości? Zdumiony jestem niezmiernie i przyznaję otwarcie, bawi mnie to!

— Możliwe! — uśmiechnęła się ironicznie pani Iza. — Ale myślę, że ani przez pół tak, jak mnie!

Odpowiedź ta wprawiła Frobishera w zachwyt.

— Jako gospodarzowi pochlebia mi to — oświadczył uprzejmie — że goście moi bawią się dobrze. Czy mógłbym zapytać, w jaki sposób pani przyszła w posiadanie błękitnego kamienia?

— Pochlebia mi pańskie zainteresowanie! — odparła wymijająco. — Nie miałam pojęcia, że miałam na sobie klejnot o historycznym znaczeniu.

— Potem się jednak pani dowiedziała?

(Ciąg dalszy nastąpi).